

Teksty Drugie 1990, 1 , s. 162-171



Żer Tygrysów

Andrzej Biernacki

Andrzej Biernacki

Żer Tygrysów

... wtedy przychodzi wielki rządca
mąci się nitka przyjaźń płacze
i pustych słów makówka dzwoni

potem zakrzepla krew w sztandarach
i palców węzeł ponad głową
taki sam węzeł w mózgu pięść

Zbigniew Herbert
Do pięści

Jaki rozkaz przekazuje nam
na sztandarze rewolucji profil czwarty?
– Pod sztandarem rewolucji wzmocnić warty!
Wzmocnić warty u wszystkich bram!

Wisława Szymborska
Ten dzień

1. Znany szkic Czesława Miłosza *Tygrys* z tomu *Rodzinna Europa* jest – jak wiadomo – literackim portretem Juliusza Krońskiego. Zarazem jest przenikliwym opisem jednej z odmian obłudy,

do jakiej uciekli się w polskich latach stalinowskich niektórzy nasi intelektualiści z ówczesnego pokolenia czterdziestolatków:

Przyjaźń z Tygrysem wzmocniła mnie przez jego gniewy i sarkazm namiętnego pielgrzyma. Wierzył, że naszym obowiązkiem jest przenieść cenne wartości europejskiego dziedzictwa na drugi brzeg, choćby dziesiątki lat miały nas otaczać tylko absurd, krew i ekskrementy. Maskuj się i klucz – będzie tobie to wybaczone, jeżeli przechowujesz w sobie miłość Dobra.

Blizsze wejrzenie w zasady, którymi by się miano kierować, odsłania kulisy całej tej maskarady:

Bo „tygryszizm” był filozofią działania, ale tak trudną, że dostępną tylko dla łaskawie przez mistrza wybranych kilku godnych. Żeby ją uprawiać, należało pielęgnować „humor historyczny”, czyli raczej zręczność taką jak pływanie albo bieg niż umiejętność nadająca się do wyłożenia komuś w teorii. Rzeczywistość poddana przemianie, tak utkana ze współzależności, że każdy, nawet najdrobniejszy jej szczegół owocował nieskończeniem, ukazywała spojenia, w których można było umieszczać dźwignię świadomego aktu.

Następstwa zaś praktyczne tego nie pozbawionego pychy żonglerstwa, nazywanego historycznym humorem, wyrażały się jeszcze o wiele mniej górnio; „miłość Dobra” coraz wyraźniej Tygryswi ulatniała się po drodze:

I jak się zdaje, zagadka etyki niemożliwej do wsparcia na jakimś nieruchomym dziesięciorgu przykazań, zagadka prawideł zdobywanych co dzień z trudem, wśród powszechnej zmienności, coraz bardziej go niepokoiła. Posiedzenia jego grona obracały się dokoła pytania: Co wolno, czego nie wolno. Wolno usunąć z katedry profesora („szkodnika”), ale nie wolno go ani więzić, ani pozbawiać możliwości zarobku.

Uderzająca jest lichota uzasadnień powstających na użytek faktów zamierzonych i dokonanych. Juliusz Kroński przyczynił się był do bezterminowego urlopowania z Uniwersytetu Warszawskiego swojego profesora, Władysława Tatarkiewicza — i sam tak właśnie objął opustoszałą katedrę.

Dochowały się relacje z jego „tygryszich” wykładów. Szybko wśród swych słuchaczy rozpoznawszy studentów co wybitniejszych, całą resztę traktował jak mierzwę. Wśród „wybranych” znalazł się — i słusznie — Krzysztof Pomian. On to właśnie mi po latach opowiedział, że gdy tylko profesor Kroński wygłosił jakąś efektowną bzdurę — zaraz mu słał, do ław studenckich, gryzmoł z zapytaniem: „Czy dobrze się wygłupiam!?”.

2. Nie należąc do „kilku godnych”, nie miałbym szans u „Tygrysów”, toteż wspominając tamte lata mogę mówić zaledwie o tych, którzy byli z góry przeznaczani na zatrąę, na ich żer i pastwę.

Ośmiela mnie do przemawiania tu* okoliczność, że ostatnimi czasy kilkakrotnie zostałem z imienia wskazany wśród uczniów i potem studentów, którym niesporo szło przystosowanie się do zmian zaszłych u nas po roku 1948. Spotkałem się mianowicie ze wzmiankami o sobie u tak znanych dzisiaj autorów jak Andrzej Walicki, Andrzej Drawicz i Jacek Trznadel. Ale punktem odbicia tych moich tutaj uwag niech będzie wywiad z Marią Hernasową, przeprowadzony przez Marka Zaborowskiego i drukowany we wrocławskim niezależnym piśmie literackim „Obecność” (nr 22). Rozmowa się toczy „na marginesach *Hańby domowej*”. Moja niegdyś licealna koleżanka widzi mnie tak:

We wspomnieniach o szkole umknął uwadze Jacka Andrzej Biernacki, który przyszedł do naszej szkoły przed maturą, wywalony z III Liceum za tzw. politykę, prawie jak Bernard Zygier z *Szyfowych prac*, za bliżej nieokreśloną nieprawomyślność. Myśmy nie bardzo wiedzieli, na czym ta nieprawomyślność polega, chociaż ten chłopak absolutnie nie krył swoich poglądów. Poglądy Andrzeja to była zresztą osobliwość — można je było umieścić w czasie gdzieś około Sejmu Czteroletniego. To był powód, że nie odegrał on w 'XI humanistycznej' roli Zygiera.

Przeciągnąłem ten cytat, aby siebie nie oszczędzać. Musiałem być rzeczywiście być mocno śmieszny. Teraz pora na autobiograficzny komentarz.

Podczas niemieckiej okupacji uczyłem się w domu. Do szkół po raz pierwszy w życiu poszedłem w roku 1945. Dla kogoś, kto dotychczas codziennie był przepytywany z całości zadanego materiału i ze wszystkich przedmiotów — nauka w publicznym gimnazjum była czymś nieoczekiwanym łatwym, mimo że domowe wychowanie trochę odstawało od wymagań oficjalnego programu i miałem pewne zaległości do nadrobienia.

Gimnazjum ogólnokształcące w Łowiczu było świetne. Wszystkich moich tamtejszych profesorów do dzisiaj pamiętam z imienia i nazwiska, mam ich w oczach z sympatią i podziwem. Jeśli zostałem polonistą — pani Helena Jastrzębska ma w tym duży udział. Jan Wegner, zasłużony badacz dziejów ziemi łowickiej, był moim pierwszym mistrzem w historii. Łaciny — nim została z powrotem wezwana do Uniwersytetu w Warszawie — udzielała Maria Maykowska, asystentka kiedyś samego Tadeusza Zielińskiego. To jest *pars pro toto*.

Ustrój był nowy (wiedziałem o tym coś niecoś, gdyż nie mogliśmy wrócić

* Wspomnienie wygłoszone w Oddziale Warszawskim PTS 19 I 1990 r., podczas sesji *Socjologiczny obraz stalinizmu*.

do naszego domu, z którego wygnali nas Niemcy i nawet mieszkanie w tym samym powiecie zostało nam wzbronione). Jednakże ten nowy ustrój starał się o zachowanie pozorów. Gimnazjum nie miało zrazu własnego budynku, gdzieżdziłiśmy się kątem w jakiejś innej szkole. I otóż pewnego wczesnego ranka, dobrze przed rozpoczęciem zajęć, na wezwanie uczniów klas maturalnych, ruszyliśmy pochodem z transparentami przez całe miasto, pod gmach starostwa – z manifestacją, domagając się lepszych warunków do nauki. Miejscowe gazety napisały o nas życzliwie, represjonowanie organizatorów nikomu nie przyszło do głowy. Publiczną wypożyczalnię książek przy głównej ulicy, łączącej stary i nowy rynek (wówczas Zduńskiej – i teraz nareszcie znów pewnie tak samo), prowadzili członkowie Związku Walki Młodych. Wiedziałem, co to za organizacja, ale wykonywali swoje bibliotekarskie zadania pierwszorzędnie i korzystałem z ich usług bez zastrzeżeń. Takie to było moje pierwsze z życia spotkanie z niewiele ode mnie starszymi chłopcami w czerwonych krawatach!

Warunki życiowe mej rodziny sprawiły, że po dwu latach z wielkim żalem opuściłem Łowicz i przejechałem do Wrocławia, który wkrótce także bardzo polubiłem. Wrażenia szkolne – znowu korzystne: cóż za wysmienieni profesorowie zjechali tu byli ze Lwowa! I jeszcze raz to samo: nowy ustrój wciąż się maskował. Pamiętam dobrze zbiórkę pieniężną w całym mieście na rzecz Towarzystwa Burs i Stypendiów. Braliśmy w tym udział z przekonania, rozumiejąc, że idzie o materialne wsparcie uboższych kolegów; zajęliśmy nawet w konkursie pierwsze miejsce w Polsce! Władze TBiS wcale się nie kwapiły z powiadomieniem nas, jakie wychowawcze cele przyświecały tej organizacji. Nauczyciele też byli chyba mało zorientowani. Bo jednak kiedy indziej dawali dobre świadectwo swojemu i naszemu odczuciu, przy wykładaniu na przykład historii najnowszej. Nikomu z nich nie przyszłoby do głowy posłużyć się osławioną *Nauką o Polsce współczesnej* (1948), podręcznikiem Władysława Bienkowskiego (który dzisiaj przyznałby się zapewne do „tygryszizmu”).

Z gimnazjum wyleciałem dla uczczenia humbugu zwanego Zjednoczeniem Partii. Byłem przewodniczącym samorządu szkolnego, nasz zarząd (matu-rzyści) właśnie ustępował, więc tak pokierowałem wyborami, by do nowych władz weszli koledzy, którzy nie przystąpili do ZMP. Najpilniejszym moim wrogiem stał się odtąd kolega O., dotychczas inteligentny współpracownik i wcale nie ZWM-owiec, przeciwnie – członek OM-TUR-u, a to była ogromna różnica. Teraz jednak, odkąd już powstał ZMP, stał się gorliwszym wśród gorliwych.

Po kilku miesiącach wilczego biletu mogłem się być spodziewać, że matura

stanie się dla mnie na razie niemożliwa. Pomoc przyszła ze strony najmniej spodziewanej. Dowiedział się o mnie dr Franciszek Jankowski, dyrektor I ogólnokształcącego gimnazjum we Wrocławiu, przedwojenny socjalista, autochton, więzień w czasach Hitlera. Zostałem zaproszony na rozmowę. Trwała ona raczej krótko, ale będę ją z wdzięcznością (a i odzieniem dumy) pamiętał do końca życia. Padło pytanie, czy uważam się za przeciwnika jedynie komunizmu, czy socjalizmu także. – Oczywiście także socjalizmu, odparłem bez wahania. Dyrektor Jankowski wstał zza biurka, podał mi rękę i powiedział dosłownie tak: „W porządku, masz odwagę cywilną – możesz iść do klasy.” W ten sposób dane mi było zostać kolegą wielu wybitnych teraz osób, co jest opisane u Jacka Trznadla.

3. Przechowuję nie bez przyjemności dokument poświadczający, że egzamin wstępny w Uniwersytecie Wrocławskim zdałem dobrze, lecz że przyjęty nie zostałem „z powodu braku miejsc”. Ponieważ chodziło o Wydział Prawa, gdzie miejsc po wojnie było pod dostatkiem, jest oczywiste, co się za formułką kryje. Moi koledzy z gatunku pana O. czuwali.

Najskuteczniejszym podówczas dla takich jak ja sposobem przedostania się przez igielne ucho (wedle liturgii nowego obrządku) było – zostać robotnikiem. Posada gońca zaliczała już człowieka do tak zwanych pracowników fizycznych. Przyjął mnie wojewódzki zarząd Zrzeszenia Przemysłu Gastronomicznego. Dostałem służbowy rower – i moja znajomość prywatnych restauracyjek, knajp i spelunek stała się wkrótce dokładna. Trochę mi z tej ówczesnej wiedzy pozostało, bo to były lata bardzo jeszcze fachowej obsługi klienta, więc się nauczyłem, jak co ma być zrobione, jak podane.

Wolałem nie ryzykować ponowienia starań we Wrocławiu. Ekskoleżków na usługach PZPR było coraz więcej. Umknąłem do Warszawy. Tu się dostałem na polonistykę.

Dziekanem naszego Wydziału Humanistycznego był Witold Jabłoński, sinolog. Gdybym miał dzisiaj kogoś przeciwstawić „Tygrysom” – wybrałbym właśnie jego. Nie kluczył, nie mataczył, nie zgrywał się; ale to właśnie on upamiętnił mi się jako ktoś, kogo cechował odważny „humor historyczny”. Z całą powagą przedstawił w roku 1950 w Towarzystwie Naukowym Warszawskim swą uczoną rozprawę *Geneza chińskiej bibliografii a rodzaje literackie*. Czytaliśmy tę pracę z chichotem, którego nie powstydzilby się i Miłosz. Nasz bowiem sinolog zwracał uwagę na paralełę, która się nasuwa „między ‘spaleniem książek’ przez totalistycznego Ts ‘in Szyhuangti a jego

nieświadomymi naśladowcami w Trzeciej Rzeszy” i na dowód cytował Hansa Petera des Coudres, autora wydanej w Lipsku w 1935 r. książki *Das Verbotene Schrifttum und die Wissenschaftlichen Bibliotheken*, gdzie jasno zostało wyłożone, że bibliotekarz narodowo-socjalistyczny winien wyczerpać wszystkie środki, aby „zgromadzić w swej bibliotece jak największą ilość książek zakazanych, nawet wydanych za granicą”, gdyż „pomijając względy praktyczne, brak w kolekcji czegokolwiek byłby wylomem w totalnej władzy.” Rozumie się samo przez się, że dostęp do tej literatury zakazanej będzie dozwolony tylko badaczom „wybranych, o patentowanej lojalności”. Niemalże także uciechy dostarczyła przytaczana przez Witolda Jabłońskiego typologia chińskich rodzajów literackich, gdzie osobne miejsce zarezerwowane miały takie gatunki piśmiennictwa jak *cesarskie dekrety nominacyjne*; do władzy zaś można adresować *przedłożenia, deklaracje, oskarżenia czy petycje o amnestię!*

Miłosza samego też się nie tylko czytało, ale skromniutkimi środkami powielano i kolportowało. *Traktat moralny* umieliśmy na pamięć – i nie przesadzę powiadając, że był nam on drogowskazem („Kto w smutnym znalazł smak cynizmie, / Ten się losowi nie wyśliznie, / A z dobrą miną do złej gry / Na pewno nie chadzą lwy.”). Ponieważ kwietniowy numer „Twórczości” z roku 1948, gdzie utwór ten został wydrukowany, trudno już było pozyskać na własność, sporządziłem w niewielu numerowanych egzemplarzach (pisanych na maszynie) coś w rodzaju bibliofilskiej broszury dla kilkorga zaufanych kolegów. Adres wydawniczy głosił, że nakładcą jest Klub Czynnego Nonsensu działający przy Uniwersytecie Warszawskim. Ów małeńki klub powstał i przyjął swą nazwę z inspiracji Kisiela. Jego felieton, drukowany w „Tygodniku Powszechnym” z 6 maja 1951, noszący tytuł *Klub Czynnego Nonsensu (Felieton poważny)* – przyjęliśmy byli entuzjastycznie. *Zniewolony umysł* Miłosza dotarł do nas, gdy się tylko ukazał; przeczytany z uwagą – nie zaraził nas jakoś ideą Ketmanu. Spotykaliśmy się w przerwach między wykładami, codziennie było jakieś okienko w rozkładzie zajęć. Po likwidacji Hadesu, po coraz częstszych pohukiwaniach kolegów-zetempowców, że „kawiarniany styl życia” jest wysoce naganny – nie zaprzestaliśmy wprawdzie chadzania do Mazowii, jednakże z Uniwersytetu szedł tam każdy osobno.

4. Od jednej z ładniejszych naszych koleżanek dostałem w roku 1957 cenny upominek: kilka protokółów narad Związku Młodzieży Polskiej, ocalonych specjalnie dla mnie w czasie likwidowania archiwum. Czytam dziś owe protokoły z rozbawieniem tym większym, że

w swoim czasie wcale nie odgrywałem jakiejś roli przywódczej. To raczej komunistycznej organizacji z jakichś jej wygodnych powodów spodobało się mnie wyraźnie awansować!

W każdym razie mam teraz dowody, jaki to byłem niebezpieczny:

Na I roku polonistyki wyodrębniła się grupa osób pochodzenia mieszczańskiego i inteligentkiego, która skupia się wokół kol. Biernackiego (kol. Drawicz i inni)

— czytam w sprawozdaniu „z odprawy sekretarzy grup ZMP z dnia 2 III 51 r.”. A znów w opisie Narady Produkcijnej z 24 stycznia tegoż roku znajduję taką wzmiankę:

Rozumiemy szkolenie ideologiczne m.in. jako formę pomocy w zdobywaniu marxistowskiej metody badania, marxistowskiej nauki. Ponieważ marxistowską metodę badania wyklucza tylko kol. Biernacki (III grupa) oraz Gajewski (II grupa. student teologii), sprawa szkolenia obchodzi tak zorganizowanych jak niezorganizowanych.

Staram się nic nie ująć ze stylu ani nawet z ortografii owych dokumentów. Narada produkcyjna, której ślad w nich pozostał, wiele czasu poświęciła oczywiście przedwojennej profesurze. Wybieram znów próbkę:

Nie mamy zamiaru bawić się w ciuciubabkę z profesorami takimi jak Szmytowa (sic!) czy Krzyżanowski. Uważamy za bezsensowne maskowanie się na naradzie. Padł zarzut pod adresem prof. Szmytowej, że jej wykład jest 'mieszczańskim delektowaniem się przysmaczkami'. Uważamy, że postawienie takiego zarzutu jest słuszne.

Wydział nasz niezbyt się nadawał do min i skoków „tygrysiach”. Styl mu usiłował nadać — bez powodzenia zresztą — Stefan Żółkiewski, lubujący się nie w niuansach, lecz w najordynarniejszym słownictwie — co miało być dowcipem w ustach tego w zachowaniu prywatnym dobrze wychowanego krytyka. Nowi asystenci — pepiniera „Kuźnicy” i „Wsi” — radzili sobie jak umieli; Andrzej Wasilewski na przykład wyrażał przekonanie, że sonet jest gatunkiem passeistycznym i wprędce zaniknie. Ćwiczenia z poetyki były nad wyraz podejrzane, ideowo niebezpieczne — zwłaszcza gdy je prowadziła uczennica Manfreda Kridla, Maria Rzeuska, osoba zupełnie wymykająca się schematycznym klasyfikacjom, historyk literatury ze wszech miar wybitny i z temperamentem pisarskim. (To ona w roku 1957, występując gościnnie w „Tygodniku Powszechnym”, rozpętała ważną dyskusję swoim cyklem artykułów *Ratujmy polską naukę o literaturze*). Próbując tu odtworzyć cośkolwiek z naszego samopoczucia w Uniwersytecie tamtych lat — rzekłbym przede wszystkim, że najtrwalej zapamiętałem nie zajęcia literackie, lecz to, co nam przyswojono z nauk pomocniczych. Te przedmioty mieli sobie powierzone uczeni i to uczeni wybitni. Udało mi się słuchać wykładów z logiki u Klemensa Szaniawskiego, w bibliografii i bibliologii ćwiczyć się u Jerzego Pelca. Dla nich możliwość

prowadzenia tych zajęć stanowiła także schronienie — zanim (po roku 1956) wolno im znów było oddać się wyspecjalizowanym dziedzinom filozofii.

Na Uniwersytecie popasałem krótko, o wiele krócej niż bym był chciał i powinien. Pod koniec przytaczanego wyżej protokołu odprawy sekretarzy ZMP czytam znów o sobie: „Następnie była jeszcze raz rozpatrywana sprawa tak zwanej ‘paczuski’. Kolega Krasek położył nacisk na oderwanie ludzi od Biernackiego.” No cóż, trudno się nawet dziwić, że ci, co należeli i chcieli pozostać w ZMP, zaczęli z różnym stopniem dyskrecji nas, naszej „paczuski”, unikać. Najtaktowniej, nie przestając być koleżeńskimi, usunął się Andrzej Drawicz. Mocniej nie tyle do serca, co do gardła, wziął sprawę kolega G., który publicznie pokrzykiwał, że pora się samookreślić, więc on zapytuje, po której ja „stoję stronie barykady”, on zaś o tym i tak wie (bo rzeczywiście znaleźliśmy się byli jeszcze ze szkoły łowickiej). Tu już zaczynał mi się palić grunt. Miary dopełniła śmierć generalissimusa Stalina, *Ten dzień*, jak zatytułowała swój na ten temat wiersz pani Szyborska. Wtedy już otwarcie wziął się do roboty kolega K., zastępca dowódcy Studium Wojskowego do spraw politycznych. Pod pierwszym z brzegu pretekstem zostałem relegowany. (Możność złożenia egzaminów po kilku latach przerwy zawdzięczam dziekanowi Zdzisławowi Liberze).

Pozostawały *privatissima*. We wszystkich ośrodkach uniwersyteckich byli uczeni, którym „tygryszizm” (o ile o nim w ogóle wiedzieli) był do gruntu wstrętny. W Krakowie nauczali po cichu między innymi Roman Ingarden i Stanisław Pigoń, i niepożyty [na prośbę Autora redakcja zostawia tę archaiczną formę] Adam Krzyżanowski; w Toruniu — Henryk Elzenberg, Tadeusz Czeżowski czy Konrad Górski; w Gdańsku — niezapomniana Izydora Dąmbska (potem w Krakowie). I tak dalej. Warszawa szczyciła się państwem Ossowskimi, których ja sam poznałem później, dopiero poprzez Klub Krzywego Koła. Moją ostoją był Julian Krzyżanowski. W literaturach obcych dokszałcałem się pod wpływem rozmów ze Stefanem Lichańskim i Julianem Rogozińskim, Dostojewskiego pożyczal mi pan Kazimierz Truchanowski.

5.

A nam, Juliuszu, jaka dana władza
Gdyśmy rodzinnej naszej Europy
Los przewidzieli, który doprowadza
Pod obcych potęg uzbrojone stopy?

Ten to, Juliuszu, zaszczyt jest nam dany:
Wykute w złocie nowe formy wskrzeszać
I choć nieprędko czas dalszej przemiany
Waleczne trunki dla przyszłości mieszać.

Tak w roku 1948, w wierszu *Central Park*, przesłanym i dedykowanym z Waszyngtonu do Paryża Juliuszowi Krońskiemu, pisał Czesław Miłosz. Dziś wiemy, że wytrwał poeta, filozof zawiódł; sam zresztą Miłosz wyraźnie był rozczarowany do tego, co Kroński miał do powiedzenia po roku 1956.

Po „Tygrysie” została towarzyska legenda, głównie chyba w kręgach literackich. Z pism jego fachowych czytałem zaledwie krytykę, której poddał trzeci tom *Historii filozofii* Tatarkiewicza („Myśl Filozoficzna” 1952 nr 4). Ani błysku, ani chociażby przebłysku jakoś nie dostrzegłem. W miarę upływu czasu coraz świetniej wypada przy ponawianych lekturach *Traktat moralny*, coraz mniej przekonująco szkic o Tygrysie (tym większej za to nabierający wartości dokumentarnej).

A my? — z całą bezwzględnością poświęceni na żer tygrysi? Nie było tak źle! Odtrutką stały się lektury przedsiębrane na własną rękę. Dla mnie główny azyl stanowiła Biblioteka Uniwersytecka — i namiętność do czasopism z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Ze świadomością, ile mu winienem, wspominam dyrektora Adama Lewaka, który mi dał pozwolenie ich czytowania (bo dla studentów znajdowały się one na indeksie rzeczy zakazanych).

Ci, co postanowili za wszelką cenę robić kariery ideologiczne, rzeczywiście powspinali się dość wysoko. Nadeszła chwila rozwiązania kryptonimów. Kolega O. — Marian Orzechowski — doszedł do wszystkich, jakie się marzyć mogą, stanowisk uniwersyteckich, dyplomatycznych, partyjnych i parlamentarnych; teraz odbywa staż bezpartyjności. Kolega G. — Wiesław Górnicki — świetny dziennikarz, objechawszy cały świat, popadł w uwielbienie dla swego — jak się wyraził — Hetmana, czyli Wojciecha Jaruzelskiego. Kolega K., którego nazwisko wyleciało mi jakoś z pamięci, jest jednak możliwy do odszukania, ponieważ w czasie stanu wojennego wystrzelił na stanowisko głównego komisarza PEN-Clubu.

Wracając pamięcią do tamtych lat nie mogę na samo już zakończenie pominąć faktu, że przynajmniej niektórzy z nas wiele naówczas czytali Krasieńskiego (dosyć zbywanego w oficjalnym programie studiów). Sztuka pseudonimowania adresatów uczuć narodowych nie była, jak wiadomo, obca temu poecie. Słynny jego wiersz *Do Moskali* (1840) zwał się

Do Turków i był rzekomym przekładem „z Kanarysa”. Stamtąd to nauczyłem się wiedzieć już na zawsze, zresztą w zgodzie z *Pismem św.*, że nienawiść zła nie jest złem, że są okoliczności, kiedy „niecierpieć jest święcie i pięknie” —

I ta nienawiść mojem dobrem całym!...

.....

Chyba ją sprzedam za polską koronę!